



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

OD WYDAWCY.

W roku przyszłym w „Bluszczu“ drukowaną będzie powieść pod tytułem:

KTÓS

przez Józ. Ign. Kraszewskiego

Nowi prenumeratorowie, którzy „Bluszczu“ w kończącym się roku nie otrzymywali, mogą na żądanie otrzymać bezpłatnie początek powieści pod tyt.:

WIDMO SZCZĘŚCIA

przełożonej z angielskiego

której druk w bieżącym miesiącu się rozpoczął.

Wszyscy prenumeratorowie

którzy „Bluszczu“ na 1884 r. zaprenumerują miesięcznie, kwartalnie, półrocznie lub rocznie otrzymają Tom I-szy dzieła pod tytułem:

ROZRYWKI DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

przez Sew. Pruszkową (Duchińską)

stanowiący osobną całość, bezpłatnie.

Tom ten będzie ukończony w połowie bieżącego miesiąca; prenumeratorowie kwartalni, półroczni i roczni, otrzymają go zaraz; miesięczni po złożeniu 3-ej miesięcznej opłaty.

Warunki prenumeraty „Bluszczu“ pozostają bez zmiany.

KSIAŻKI DLA DZIECI

I MŁODOCIANEGO WIEKU.

Dobra książka do czytania dla dzieci i dorastającej młodzi jest rzeczą ceny niezmierniej, bo ona-to gust do czytania rozbudza, ona umysł młody do zajęć literackich zaprawia, więc otwiera przed nim drogę coraz wyższego kształcenia się w przyszłości, i z tego koniecznego punktu uważana, literatura dziecinna każdego kraju stanowi jedną z gałęzi jego edukacji. Szkoła sama nie wszystko dać może; że książka do czytania musi tu być z niejednego względu dopełnieniem rzeczy, wiedzę oddawna wszyscy pedagogowie i rodzice też wiedzieć powinni, tak dalece nawet, że jak w planie, tak i budżecie edukacji dzieci swoich należy im książkę tego rodzaju pomieścić i w rubryce niezbędnych, corocznych wydatków zapisać. Jak rozmaity pokarm potrzebny jest organizmowi fizycznemu, tak też rozmaity powinna być strawa umysłowa: czytanie dla rozbudzenia wyobraźni i uczucia powinno towarzyszyć nabywaniu wiadomości naukowych, łączyć się z nimi i podierać je przez zapełnienie rozmaitych tych luk, które wytwarzają się ze zbiegu różnych systematów naukowych i okoliczności w życiu dziecka działających. Gimnastyka została dziś wprowadzoną do wychowania, bo zrozumiano potrzebę współmiernego kształcenia sił ducha i ciała: otóż dla podobnej współmierności kształcenia wszystkich władz umysłu, dla doskonałego wyrobienia przyszłego człowieka, który nietylko samą nauką w mądrością żyć będzie, książka do czytania domowego, rodzinnego, powinna być koniecznie, nieodzownie daną dziecku i młodzi dorastającej. Jest ona jednym z bardzo ważnych działaczy wy-

chowania rodzicielskiego, i moralnie opuszczoną sierotą jest dziecko, które tego nie otrzymuje, opuszczoną, zostawioną bez kierunku, i rodziców trzeba wtedy nazwać gorzej niż niedbałymi, ciężej leniwymi niż niedbałe i leniwe są matki, które dzieci swoje na pokarm cudzej piersi skazują. Tąto jest rzecz fizyczna, jakkolwiek z wielkimi względami wyższej doniosłości dla kobiety połączona, tu rzecz moralna — moralne to mleko, jakie młodej istocie dać jest dziś świętym rodzicielstwa obowiązkiem.

Że wybór książki wiele tu znaczy, dowodzić nie trzeba; często rodzice sami wyboru tego dobrze zrobić nie mogą, ale zawsze mogą i powinni wedle kierunku uczuć i myśli, które dzieciom swym pragną nadać, zapytać się o radę ludzi kompetentnych i z literaturą obeznanych. Książka do czytania rodzinnego dzieli się niejako na dwie części. Jedną, której klasycznym typem jest Robinson Kruzoe, przeznaczoną jest głównie na to, aby zajęcie do czytania budziła, aby ciekawa, żywo i barwnie pisana, wyobraźnię pociągała, w artystycznej rozkoszy tego czytania młodemu umysłowi zasmakować dawała i podróże, opisy stron nieznanych, wypadków dramatycznych, w których człowiek z przeciwnościami się łamie, mocą charakteru i wytrwałości swojej te przeciwności i siebie samego wśród nich zwyciężyć usiłuje — to główne książki tego działu części składowe. Bardzo też wiele tego rodzaju dziełek mamy i zawsze chętnie czytane, zawsze są w literaturze dziecinnej pożądanymi, z dodatkiem przecież, aby względy moralne: ludzkości, uczciwości i wszelkich cnót szlachetnych, stały tu na straży, i dlatego wszelkie takie opisy, gdzie się ktoś niepoczciwie na grabieniu cudzego dobra wypuszcza, naprzykład wyprawia łowy na Indyan w Meksyku i jest przedstawiony, nie jako zbroj i łupieżca, ale jak bohater i rycerz waleczny — złe są i w wysokim stopniu niepedagogiczną jest rzeczą młodemu czytelnikowi je dawać.

Drugim zadaniem książki dla młodocianego wieku jest, aby coś wiedzy naukowej podawała sposobem popularnym. Wiadomości z nauk geograficznych i przyrodniczych najnaturalniej łączą się z podrózkami, z opisem mórz i krain dalekich, lub miejscowości szczególnych, jak też zwykle bywa i jak w roku zeszłym uczyniła p. Zaleska przy opisie wycieczki w Tatry.

Przecież najodpowiedniejszą do popularyzowania tutaj są wiadomości literackie, historyczne i dziełka takie stanowią niewątpliwie najdoskonalej pedagogiczne czytanie dla młodego wieku. Życie ludzi wielkich, wielkie a nie fikcyjne wypadki, oddziałują silnie na umysły młode i podnoszą je szlachetnie.

Opowieść na tle takim to nietylko wprowadzenie w pamięć dziecka coś wiadomości naukowych: wpływy moralnego znaczenia potęgują się tu niezmiernie, bo czytelnik wie, że te cnoty, te czyny, te postacie dzielne, które uderzają jego wyobraźnię, wzruszają serce, któremi się raduje, lub smuci — to prawda. Tak było na świecie, ludzie tacy żyli, więc i on tak żyć: czuć, myśleć, kochać i działać może — może sięgać po dostojeństwa, cnoty pełnić i do takiej godności ducha dochodzić, jak tamci bohaterowie. W najświetniejszej naszej literaturze i w edycjach zapewne dotąd niewyczerpanych mamy takich książek dość: *Krzyżacy* Kraszewskiego w dobrej przeróbce Jadwigi Teresy i te same autorki *Powieści historyczne* z rycinami Gersona, *Opowiadanie Starego Szlachejca* i *Pamiętniki Paska* w opracowaniu Laskarysa — wszystko to rzeczy bardzo dobre, bardzo pożądane, aby się mieściły w każdej biblioteczkę rodzinnej. W tym roku przybyła nam w Warszawie jedna tylko książka nasza z tego działu historycznego, zalecająca się pięknym tytułem: *Na tle swojskiem, powiastki z dawnych czasów przez Michałinę Zielińską* wydane przez Maurycyego Orgelbranda. Jest tych powiastek dziesięć, ale pierwsza z nich, najwięcej dramatyczna, mniej jednak dobrze jest dobrana do przedstawienia młodym umysłom. *Jedno z podań o wyklętym* osnute jest na tle dziejów Bolesława Śmiałego: musi to więc być z konieczności i jest też malowaniem ponuro; starcie władzy świeckiej i kościelnej uwydatnione bolesnie, więc niepedagogicznie, bo dziecko nie wie: kędy zwrócić się współczuciem na widok cierpienia i klęsk, które zostały mu przed oczyma postawione, a które dotyczą, nie samego tylko pokutnika; zdaniem też mojem, i nie mojem tylko, lepiej jest w książkach dla dzieci przedstawienia takich obrazów unikać. Przez przykłady cnot bezpiecznie jest zawsze cnoty uczyć, a krytykę dziejów, obrazy rozterek, błędów i upadków, dla dojrzałych umysłów zostawić.

Bardzo dobra, ale tylko tłómaczona książka historyczna przybyła literaturze naszej dla dorastającej młodzieży: historyczna i sławna w swoim czasie, a zawsze wysoko zajmująca i poczytna powieść angielskiego pisarza, Bulwera: *Ostatnie dni Pompei*, z niemieckiego przerwobienia dla młodzieży przez Maryana Gawalewicza przełożona, słusznie nosi to w tytule, że jest przeznaczona „dla użytku młodzieży“ bo niezawodnie użyteczną jest książka, która młodego czytelnika w wysokim stopniu zająć może. Przekład bardzo dobry, wydanie Gebethnera i Wolffa bardzo przyzwoite. Walka upadającego pogaństwa z powstającą wiarą Chrystusową na tle strasznego kataklizmu zapadającego się w ziemię miasta rzymskiego — oto treść książki.

Dwadzieścia cztery bardzo udatnych wierszyków p. Maryana Gawalewicza złożyło się na *Rok dziecięcy*, wydany bardzo ozdobnie przez T. Hösicke. Jak miło wierszyki się te czyta, tak przyjemnie spojrzeć jest na ładnie ilustrowaną okładkę *Roku dziecięcego*, ale ilustracje dalsze efekt ten pierwszy psują, bo przedstawiają w dwudziestu czterech obrazkach swoich dwanaście miesięcy zgoła nie naszej przyrody: więc nie nasz kraj i na nim ludzi nie naszych. Zaraz już Marzec nie nasz, bo chyba w szczególnej wyjątkowy sposób fiołki i pierwiosnki w Marcu u nas ktoś zbierał i fujarki kręcił, tak jak w Maju żaden nasz gospodarz nigdy owiec nie mył, a Październik nie daje się u nas przez winobranie przedstawić. Tych brzydkich Niemców, którzy brzydkiego sztajera

w Sierpniu, więc na dożynkach, brzydko tańczują, nie daj nam też Boże między nami widzieć. Nie daj nam również Boże widzieć tego Niemca w kolorowej koszuli i czerwonej kamizeli, w Listopadzie na worku świeżo wymłóconego zboża, siedzącego. Śliczny wierszyk zamieszczony przy obrazku *Luty*, zdaje się ochronnie napisany na to, abyśmy podobnych widoków nie mieli:

Niechno śnieg się duży zwali,
Będziem z niego wał sypali;
Będzie wojna, co się zowie!
Tam za mostkiem, tam przy rowie,
Z chłopakami od sąsiada
Wnet się pocznie kanonada.
Hura! białe bomby lecą,
Że aż w oczach świeczki świecą.
Kto odważny, ten zwycięża,
Nawet śniegiem, bez oręża
Z niebezpieczeństw się wybija
Odważnemu szczęście sprzyja,
A gdy broni dobrej sprawy
Wart uznania, czci i sławy.
Broń-że swego, zuchu młody,
Tylko cudzej nie chciej szkody.

Czytając ten i inne wierszyki z *Dziecięcego Roku*, pragnie się prosić autora, aby je od nieprawdziwych dla nas, i dla nas brzydkich obrazków odrywając, osobno wydał, a choćby edycja tak paradną nie była, choćby papier nie był brystol, choćby okładka mniej barwista, oczu tak nie pociągała, niewątpliwie rozchwytanoby je w lot i wierszyki, a raczej poezyjki, stałyby się wkrótce między drobną działyką naszą popularnymi, ucząc je przez usta babek siwych tej pocziwej moralności:

Wierz mi, mój mały bracie:
Niemasz jak w ojcowskiej chacie.

(Dokończenie nastąpi)

GOŚĆ NA WIGILIĄ BOŻEGO NARODZENIA.

Wody Berezyny leniwie się toczą przez zielone, grzęzkie ługi, przez ciemne, drzemające lasy Ziemi Borysowskiej. Przy cichym szmerze jej fal mieszkaniac chat kurnych, dranicami krytych, marzy cudowne obrazy, wychylające się do niego z mgły legend, które tu przyrosły do tajemniczych głazów, z zatartymi napisami, do tajemniczych, przedwiekowych ruin, kryjących się w głębiach puszczy sosnowych. Ziemia jest tu niemi usiana: okopiska starych hradków dźwigają się wśród kniei, odwiecznym starodrzewiem zarosłych, ciągną się wskroś nich milami całymi trakty bite, które lud nazywa drogami witeziów. W dzikim ostępie strzelec lub pastuszek trafia nagle na wejście do podziemi, Bóg wie gdzie prowadzących, znajduje zapadłe studnie, kamieniami cembrowane, a gdy ucho do ziemi przyłoży, słyszy jak tam dzwonią dzwony wielkiego, w ziemię zapadłego miasta, które sto kościołów miało. Ludzie tamtejsi wiedzą, gdzie to miasto stało, wiedzą tak dokładnie, że ciekawemu przybyszowi pokazują wśród gęszczy leśnego polankę, kędy był rynek, gdzie na jarmarku było sprzedawano, i wzgórze pochyłe, kędy kwitnęły ogrody książęce. Ale prócz tego — doda słuchaczowi opowiadający — są na powierzchni ziemi miejsca zakłete, do których on sam trafić nie może, choć tam raz był: widział na własne oczy sklepy zamczyte, z żelaznymi kratami, sady i pasieki cudowne, jakich już dziś na świecie nie bywa. Czy duchy pomarłych, które je w posiadaniu swoim trzymają, oddadzą je kiedy żywym? nie wie i tylko gwarzy o tych skarbach zaczarowanych długimi wieczorami ostrej zimy tutejszej, lub marzy o nich, gdy wśród samotnych głąz leśnych smole pędzi, klepkę i płachy dębowe na spław zamor-

ski wyrabia, albo na ładownych bajdakach każe je Berezynie nieść ku Dnieprowi.

A Berezyna czem dalej płynie, tem szybciej bieży, tem głębsza, tem wspanialej wodne swe łono podnosi, bo też wlało się w nią siedm rzek, przepłynęła trzy jeziora i wiosennym czasem aż huca na niej od pieśni, rozmów, nawoływań flisaków, a białe żagle, które teraz ciepły już wiatr wzdyma, przesuwały się ponad jej wodą modrą, jak skrzydła mew ogromnych. I taka też jest: bystra, głęboka, gdy ubiegłszy sto mil od źródła swego w Lasach Dokszyńskich, pod Borysowem, starożytnem miasteczkiem przepływa, oblewając falą szumiącą Wyspę Zamkową. Dziś znajduje się tylko na niej ostróg posępny, zmurowany z cegły i kamieni, ale niegdyś stał tam zamek warowny, z basztą, z parkanem obronnym, wzniesiony jakoby jeszcze przez Książąt Połockich z modrzewiu i grubych kłód dębowych, spodem ze sklepami mocnymi, przez które miało być przejście podwodne do miasta. W siedemnastym wieku, gdy Starostą Borysowskim był Alexander Służka, jeszcze się w nim sądy grodzkie odbywały, mieścił się urząd starościński, i sam starosta miał tu rezydencją swoją, gdy do miasta zjeżdżał. W osmnastym wieku za starostowania księcia Ogińskiego, stary ten hrad przebudowanym został, zostawiano go jak był drewnianym, tylko umocowano dobrze i dachówką pokryto, ale w późniejszych czasach, gdy starostwo od miasta odpadło, pustką głuchą został i ruinował się powoli. Ludzie i wichry odrywały od niego ścianę po ścianie, aż rozebrano go do szczytu i miejsce na ostróg zajęto.

Pan starosta Służka, za króla Jana III Starostwo Borysowskie dzierżący, był magnat bogaty, żonę miał księżniczkę z domu i w Dziewoszycach, majątku własnym, w obszernym, popańsku zbudowanym, dworze mieszkał. Ze zaś zamłodu po świecie podróżował, był we Francji, a nawet we Włoszech, w Akademii Boloińskiej, nauki pobierał: ogrody dziewoszyckie tamtejszym gustem bardzo ozdobnie sobie urządził i jak tam cyprysami od wiatrów północnych je zasłaniają, tak on gęstym, strzyżonym szpalerem świerkowym je otoczył i krzewy rzadkie na tak dalekiej północy hodował. Syna miał tylko jednego i tego najpierw w podróż za granicę wyprawił, potem go w Warszawie przy dworze króla Jana trzymał, bo starosta z młodym też podówczas Sobieskim, w którym nikt przyszłego króla nie przewidywał, w czasie pobytu swego we Francji wielką przyjaźń zawiązał, więc też teraz z tego stosunku dla syna korzystając, chciał go na wielkim świecie stołecznym sprezentować. Król wziął starościę na towarzysza własnej swej chorągwi i chętnie go tak na dworze Warszawskim, jak w Wilanowie widywał, bo młody p. Stanisław Służka był bardzo gładki i razem rycerskiego usposobienia, do czego Jan III zawsze wielką wagę przywiązywał. Ale starościęna zatęskniła za synem i musiał go ojciec na wieś do siebie, do Dziewoszyc przywołać, gdzie matka łzami radości Stasia swego przyjęła. Taki był piękny: wysoki, smukły, z jasnym wąsikiem, z okiem błękitnym, a ona go lat tyle nie widziała: to też tak miłośnie wyciągnęła do przybywającego ramiona, tak tkliwie pochylona do ręki swojej głowę jego do piersi tuliła, że panu starościę zwiłgotniały oczy. I on widział, że jednak jego urodziwy, że dzielny, że coś szlachetnego, coś dostojnego z oczu mu patrzy i choć dla powagi ojcowskiej, której wtedy bardzo pilnowano, nie chciał tak pieścizliwie, jak pani matka, syna przyjmować, niemniej serce w piersi miał wzruszone. Cała dworska służba zbiegła się też młodego pana witać; wtedy gdy syn po ojcu w jednym rodzie pańskim służywał, stosunek inny był niż panów i sług dzisiejszych: starościę też, radośnie przez dwór rodzicielski witany, z niemniejszą radością oglądał znane mu od dziecka, od dziecka miłe twarze, aż naraz, gdy się zamieszanie pierwszej chwili uspokoiło wkoło niego, oczy spotkały na stronie taką postać, od której nieprędko mógł je oderwać. Prześliczna a młodziečna dziewczyna, tej bladej, jak kość słoniowa biało-żółtawej cery, którą można by nazwać płcią Rusinek, z podłużnym, pięknym okiem czarnym, z czarną jak kruk, wąską brwią,

na czole nizkiem jak u Greczynki, z rzęsą czarną, długą, która się za spotkaniem wzroku młodzieńca jak firanka w dół spuszczała — cudność, jakiej p. Stanisław na dworze królewskim nie widział, stała na boku, sama jedna wśród wszystkich przytomnych, niewitająca go i nieznana mu pierwej.

Choć oczy swe pięknie natychmiast pod zwróconym na nią wzrokiem jego spuszczała, jednak się ich spojżenia ze sobą spotkały. On jakgdyby zawołał na nią: — Kto ty jesteś, o! cudna?... Ona odpowiedziała mu łuną różową, co jej po liczku ślicznem przeszła.

Starosta zauważył, że syn spojrzawszy w stronę, gdzie nieznajome mu dziewczę stało i zawołał: — Marysia, a raczej p. Maryanna Świdowna z Krasnego. Braci starszych znasz... Czy pamiętasz? Jurek, Stefan... co tak pysznie strzelają. Jest ich pięciu, a dziewczyna jedna tylko, więc ją p. Staroscina sobie zabrała.

Pan Stanisław zadziwił się, że to nie królewna żadna a tylko panna respektowa jego matki. Przypomniał też sobie Krasne, że wioszczyzna była mała i on, do stołecznych paniąt, do fraucymeru Królowej Jejmości przywykły, nie mógł sobie tego w głowę wbić, aby ta piękność, jak kwiat różyczki delikatna, w dworku małego szlachcica, pod słomianym dachem, urodziła się i wychowała. Gdyby to było w Warszawie, myślałby, że żarty z niego czynią, że mu Lubomirską lub Zamojską w przebraniu drobnej szlachciauki pokazują.

Więc też spojrzawszy raz i drugi, jakby urokiem jakim ku niej pociągany. Niepokój dziwny wszedł mu w serce: choć wiedział, że starosta niewątpliwą prawdę mu mówił, wciąż tak czuł, jakgdyby stała przed nim nieznajoma, którą trzeba mu koniecznie poznać. Zasłony przecież na twarzy nie miała, a jemu tak coś przeszkadzało, gdy na nią spojrzenie rzucił, jakgdyby się przysłoniła. Jedwabnista firanka rzęs długich sprawiała może to wrażenie; pragnął, aby je podniosła, aby on raz jeszcze w czarne jej źrenice wzrok zatopił. Ale na pragnieniu przestać musiał, bo, spóźniwszy się z wyjazdem z Warszawy, gdzie go królewicz Alexander przytrzymał dla polowania na sarny w kniei kozienieckiej, w samą wigilią Bożego Narodzenia, i to dobrze już z południa, do domu przyjechał, więc w kobiecych szykach właśnie zamieszanie sprawił, i nawet sama staroscina długo z synem bawić nie mogła. — Mój ty złoty! mój ty najdroższy! mój jedyny! — mówiła mu raz po raz, jeszcze się jasnej jego głowy nacałować nie mogąc, ale po chwili pewnej zostawiła go ojcu, a sama do gospodarskich komnat odeszła, Marysię Świdównę ze sobą zabierając. Grzanego wina z korzeniami coprędzej mu przysłała, aby się po podróży w mróz już mocny, rozgrzał i zaprzątęła się troskliwie, aż prawie niespokojnie, coby tu do wieczery wigilijnej na to wielkie święto jej macierzyńskiego serca dodać? Klucznica i gospodyni nad całym dworem pańskim, także szlachcianka dobra, p. Petronela Skuratowiczówna, która przecież staroscina na rękach nosiła, została wezwana do narady: czy nie pamięta, co p. Stanisław szczególnie lubi? Szczupaka z szafranem, czy faszzerowanego pożydowsku, lina z kapustą, czy karpia z ciemną podlewą? Księżniczka Ogińska była z domu przyniosła p. staroscie dwa klucze w posagu — ale to nic nie znaczyło. Choć i kucharz w Dziewoszczech był taki, który się w radziwiłłowskiej kuchni gotować uczył, jednak pani staroscina sama się niejednem, zwłaszcza w świąteczne dni, troskliwie zabawiała i teraz szło jej o takie — takie co do odrobiny cukru i masła małdrzyki, jakie Staś jej najdroższy za dawnych czasów lubił. Marysia Świdowna została p. Petronelli do pomocy wyprawiona, a p. staroscina, bojąc się opóźnienia w wieczery, która z pierwszą gwiazdą musiała być koniecznie na stół sianem zasłany, podana, siadła sama korynckie rodzyunki do migdałowej polewki przebierać. Ręce jej od wzruszenia drżały, lży raz w raz do oczu się cisnęły, usta szeptały same do siebie: — Moja dusza!... moje serce!... moje życie najdroższe!... ale swoją drogą gospodarowała. W Koronie, zwłaszcza w Warszawie, już tak być przestawało, już się wielkie panie na francuzki sposób więcej do salonu niż do takich spraw domowych chowały, ale w litewskim zakątku, nad Berezyną, jeszcze

stary obyczaj trwał. Kucharz mógł piec marcepan, ale tradycyjalne przysmaki panie same z kobiecym swym dworem przyrządzały.

Aż Gwiazda Chrystusowa błysnęła, przejrzała się w falach rzeki, która potem tyle, ach! tyle rzeczy różnych widzieć miała, zajaśniała nad lasami, kędy drzewa przeszłość, przede dwór p. starosty Borysowskiego zajechał w saneczkach malutkich ksiądz proboszcz dziewoszczyckiego kościoła i razem prałat, kanonik Kapituły Żmudzkiej, a na stół wniesiono wazę srebrną o dwóch uszach, bardzo kunstownej roboty włoskiej, z herbami Służków — i zgromadzeni zaczęli sobie Dosiego Roku życzyć.

Gdy przyszło p. staroscinie opłatkami z synem się łamać, znowu serce kobiety rozplynęło się we lży: bo też radość, którą czuła w tej chwili, wzbudzała w piersi matczynej wspomnienie długich, długich tęsknot — do jedynaka swego, niepokojów o niego przebytych, i oczy zalały się łzami. — Niechże cię już nigdy od promienia wzroku mego nie puszcze, niech się nigdy za ciebie dalekiego nie modle! niech cię zawsze tu... tu... przy sercu mojem czuję... zawołała roztkliwiona.

P. starosta uzalił się żony, której pięcioro dzieci na mogiłki wyniesiono, i tylko ten jeden, jedyny syn przy życiu został, i wyrzucając sobie, że ją tak długo widoku tego jedynaka pozbawił, wziął ją za rękę z miłością. — Przysięgam ci, panno moja, że jak mi Bóg miły w niebie, tak ci go nigdy dla żadnej sperandy ambitnej, dla żadnych honorów większych nie zabiorę — rzekł. — Chybaby już była potrzeba... pro patria...

Matce znowu zakreśliły się lży w oczach, ale już nie puściła ich na licu. — Pro patria... — szepnęła biedna cichutko — ach! to też macierz druga...

Pan starosta inaczej zgola opłatek z synem przełamał. — Bądź mi Wasze zawsze taki zdrów i tegi, jak dzisiaj towarzyszyć spod znaku Króla Jegomości — rzekł wesoło. — Listy, które mi przysłałeś ze sobą, dobrze mi o waćpanu śpiewają. P. Stanisław, to jest chciałem powiedzieć pan Generał Ziem Ruskich, książę wojewoda Jabłonowski, chwali mi cię z tego, żeś zuch, a nie hałburda. Takim też chcę mieć waćpana zawsze i dla pociechy serc rodzicielskich, i pro bono publico. Niech się za starym Ezopem przed ludźmi z waszmością zalece: — Mam jednego, ale lwa...

P. Stanisław do ręki ojcowskiej jak dobry syn się pochylił, a staroscie zrobiło się miękko na sercu i wzruszony, tak prawie, jak staroscina, położył prawicę na głowie młodzieńca. — Niech cię Bóg nam chowa, niech starosci naszej da z ciebie do żyć coraz-to pociechy większej!

— Ożeń syna niedługo, p. starosto dobrodzieju — rzekł wesoło ksiądz probosz. — Ożeń go, a coraz to ci pociechy przybędzie.

P. Stanisław zrumienił się nagle na te słowa księdza, jakgdyby był panną na wydaniu. Mignął mu przed oczyma obraz Marysi Świdówny i mimowoli spojrzawszy: czy ona tu jest?

Stała zaraz poza starosciną, przybrana świątecznie w wiśniowej gredytarowej jadwiszce, która jej gibką, wybiegłą jak młoda topolka kibić ujmowała i uwydatniała wdzięcznie. Dwa grube warkocze spływały po niej, niemal do kolan, a wiadać było jak jedwabniste są i miękkie: to też nad białem dziewczęcym czołem włoski były gładziutko zaczesane, ani się zalotnym loczkiem na strony nie wymykając, ani buntowniczym kędziorkiem nie jeząc. Nic w tem dziewczętku słodkiem nie było samowolnem, lub upartem; wszystko się miękko, łagodnie układało, i p. Stanisław doznał teraz wrażenia prawie miłszego, niż za pierwszym p. Świdówny ujrzeniem, i gdy z kolei z księdzem proboszczem opłatkami się podzielił, gdy wziął od niego błogosławieństwo, które ksiądz, będąc wymownym i kaznodzieją nielada, bardzo pięknie wyraził, zwrócił się zaraz do niej, która stanęła cała w ogniu. Ogień to był różowy, jak łuna letniego świtu, i lekko delikatnie oblawszy, cudniejszą ją jeszcze oczom p. Stanisława uczynił.

— Choć tak prawie jak nieznany, chcę przecież Waszmość pannie szczęścia w tym dniu godów Chrystusowych życzyć i prozę, abym też od niej życzenie takie miał — rzekł bardzo dwornie, a z uszanowaniem takim, jakgdyby staroscinką też, senatorówną jaką była, ale cóż? kiedy od niej pra-

wie że odpowiedzi nie odebrał. Usta coś niedo-słyszalnego szepnęły, coś o waszmość panu, a przynajmniej Stanisław tych tylko słów uchem zachwyił, i za całą rzecz, którą z tego pozyskał, było to, że się czarne oczy podniosły na niego.

Podniosły się i spuściły zaraz, ale jemu było tego dość. Zjął go też taki humor dobry, że byłby z jej trzewiczka, maciupciego zapewne, kielich węgrzyna, choćby za zdrowie tureckiego cesarza, wychylił. — Dziękuję... rzekł jej z wesołym uśmiechem w spuszczone już oczęta patrząc, a ona biedna mogła sama siebie teraz pytać: za co jej mianowicie staroscie podziękował? Czy za to, że chcąc do niego mówić, słów znaleźć nie mogła?

— Gładki kawaler... rzekł ksiądz proboszcz do p. starosty, któremu i ta pochwała syna niemiłą nie była. — A od czego w Warszawie siedział i na pokojach królewskich bywał?... odparł, a serce mu w piersiach coraz rosło.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Dramat E. Legouvé'go *Anna de Kerviler*, w 1 akcie; przekład W. Bogusławskiego. Dramatyczność Rewolucji Francuzkiej. — *Słomiany człowiek*, komedia w 3 aktach, Jordana. Wartość talentów aktorskich i talent Zółkowskiego.

Wielka rewolucja z końca XVIII w. tak jest obfitą w dramatyczne wypadki, że dramaturgia francuzka nie potrzebuje sobie łamać głowy nad wynajdywaniem wdzięcznych tematów historycznych. Zarówno w tym dziale wydarzeń, który wszedł do historyi świata, jak i w tym, który historya serca ludzkiego w niezgłębioną toń swoją pochwyliła, trud poszukiwania jest wiele ułatwiony. Byle książka, pamiętnik, podanie, dostarczy obficie przedźy wydarzeń dla sztuki potrzebnych: sztuką jest tylko tę przedźy przerobić w piękno. Wielką tu dogodność stanowi to, że wypadki owe są zarazem i dość blizkie i dość dalekie, aby sztuka z nich korzystała mogła, nie oddalając się od historyczności. Czas jeszcze nie zatarł rysów, a indywidualny charakter epoki jest tak w niczem niepodobny do tego, co nas dziś otacza, że przy wspólności jedynie tego fundamentu, jaki pod wszystko, wielkie czy małe, dobre czy złe, rzuca natura ludzka, same formy i warunki życia ówczesnego odskakują daleko od dzisiejszych i nabrały już tej perspektywy, bez której niema historyi, ani w wiedzy, ani w sztuce. Czasy przejawiania się tych form i panowania tych warunków były straszne, okropne, ale i piękne, a tak oryginalne, że stoją całkiem odrębnie wobec najburzliwszych nawet i największych uraganów dziejowych. Takich właśnie epok, takich chwil silniejszego życia, silniejszych bodźców i nadzwyczajnych warunków, potrzeba dla sztuki, która pragnie być, w prawdziwym tego słowa znaczeniu, historyczną, t. j. odbijać w sobie te żywy i momenta, które duszom ludzkim dają sposobność do bohaterstwa etycznego i niejako same je z piersi szlachetniejszych wyzywają.

Rewolucja Francuzka nie przychodzi z żadnym przywilejem; stoi ona pod jednym i temsamem prawem z każdą inną epoką; z każdej sztuka wybiera to, co w niej jest najwyższego, co posiada najsilniejszy światłocien duchowy. I w naszym życiu kiedyś szukać będą tematów dla dramaturgii historycznej — ale czy je znajdą i w czym? Co zostawi po sobie przyszłym pokoleniom dramaturgów ta nasza epoka *Polizeistaat* i *Macht geht vor Recht*? Czy gabinety uczonych, katedry profesorów, przytulki i więzienia, kuźnie prawodawcze, zielone stoły i zielone sumienia dyplomacy, porządek, pracę organiczną, gonienie za zyskiem, targi i giełdy, układność i fałsz, spokojne domy i spokojne łoża filistrów — całą tę mechaniczność, porywającą do zwątpienia o duchu? Nie, ona zostawi tylko to, co w niej spokojem, sytością, ładem nie było; ona zostawi formalnie to samo, co z siebie daje ów wielki akt odrodzenia ludzkości, ale w nieskończenie mniejszem natężeniu — rozbite wszystko i rozproszone, ale wykraczające ze zwykłego biegu

rzeczy, — nadzwyczajne, niepowszednie. Ta właśnie niepowszedność, na najwyższym znany dotychczas stopniu, czyni z Rewolucji Francuskiej materiał *per excellentiam* historyczny na potrzeby dramatu.

„Na potrzeby dramatu“ — mówimy: dramat bowiem potrzebuje czego innego, niż powieść lub komedia; historyczność obyczajowa, dla nich wystarczająca, jego nie zadawalnia. Aby dramat był rzeczywiście historycznym, t. j. aby historią w sobie odbijał, potrzebuje się przejąć atmosferą wielkich dziejowych wypadków. Wprawdzie sztuka w istocie swojej nie może być historią i zasadniczą treść z życia wiekiwego serca ludzkiego czerpać musi; ale historia nadaje jej tę powagę, ten urok, jakiego nie znajdzie nigdy rzecz współczesna. Wolno zresztą brać temata z kąd chceć, ale gdy się je bierze z historii, powinny one być rzeczywiście już historycznymi. Otóż jest mnóstwo dramatów wstawianych tylko w ramy przeszłości; ale mało jest, niezmiernie mało, prawdziwie historycznych. Wprowadzenie osób rzeczywistych z przeszłości nie nadaje jeszcze sztuce historyczności. Tak np. *Mazepa*, choć ma króla i wojewodę, nie jest historycznym, ale zato tegoż samego poety *Złota czaszka*, w urywkach tylko dochowana, choć żadnej takiej osobistości pokazać nie może, nietylko przez cudne wypadki, które w niej ruch wywołują, do tytułu sztuki historycznej ma najzupełniejsze prawo.

W straszne owo oblicze Rewolucji Francuskiej zajrzał i Legouvé, gdy pisał swoją *Annę de Kerviller*. Pisarz to moralny, człowiek zasłużony wobec literatury i społeczeństwa swego; ale nie byłby Francuzem, gdyby nie złożył sztuki z męża, żony i kochanka i nie przedstawił w niej kobiety upadłej. Przytem wszystkim szło mu tylko o stworzenie drobnostki, nie o wielki proces psychologiczny, któryby, osnuwając się na wypadkach, różnorodność bogactwo indywidualności do dramatu wprowadzonych ukazywał. Celem jego było odmalowanie jednego tylko epizodu, jednej sytuacji, rzeczywiście niezwyklej i mającej niezwykłością swoją i rozwiązaniem szokować widza. Stało się inaczej, a stało się właśnie skutkiem takiego, a nie innego, założenia twórczego. Wywołanie efektów nie jest celem sztuki; może być tylko jej skutkiem.

Cała historia jest taka. Elias Moréac, royalista raniony w bitwie, znajduje pomoc i opiekę w domu przyjaciela swego i towarzysza broni, hrabiego de Kerviler, mieszkającego pod samem Nantes. Hrabina go pielęgnuje, hrabia tymczasem walczy w obronie sprawy, którą za świętą uważa. Gdy się nie jest siostrą miłosierdzia z powołania, nie dobrze jest być nią z przypadku, zwłaszcza przy łożu młodego i pięknego człowieka. — Ani wierna dotychczas żona, ani zobowiązany do wierności przyjaciel, nie uniknęli niebezpieczeństwa: dyabeł się rozśmiał i z cnoty i z przyjaźni. Elias, wyleczony już z choroby jednej, przekradnie się do Szuanów, gdzie się może i z drugiej wyleczy; ale tymczasem z partyzantki wraca nakrótko, dla odwiedzenia żony, sam hr. Kerviler. Psy Carryera wtrępiły go. Wchodzi sierżant Lambert dla przetrząśnięcia domu. Anna daje mu dumną, wspaniałą odpowiedź: nie lękam się was — ale niema nikogo. Jest! bo oto wchodzi Elias i oddaje się zbirom, jako ów poszukiwany royalista. Straż chwytą i samego hrabiego. Lambert, serce poczciwe pod niegodziwym uniformem, chciałby ich obu ocalić — czas leci... ale jednemu przynajmniej będzie mógł jeszcze ułatwić ucieczkę.

Z możności tej ucieczki nie chce korzystać Elias: przeciwnie, pragnie on umrzeć, a domyślamy się dlaczego, domyślamy się tylko, bo nam wcale autor głębi jego duszy nie otwiera. Mając umrzeć, chce się Moréac wypowiedzieć i żąda księdza. Księdza niema. Wtedy przypominają się tym royalistom pierwsze wieki Chrześcijaństwa, kiedy to jeden męczennik spowiadał się drugiemu. Spowiada się więc Elias, kochanek, Kervillerowi, mężowi, z występnej miłości swojej: do tej sytuacji właśnie dażył Legouvé od samego początku, dla niej napisał całą sztukę. Rzecz prosta, że prawidło byłoby pogwałcone, gdyby mąż nie przeklął występnych, ale w tem już przebija się

indywidualna właściwość jego charakteru, że przekląwszy, przebacza — a korzystając z poświęcenia się zanego Lamberta, ucieka razem z kochankiem swej żony. Uciekający mylą się w drodze; straż spostrzeżę ich i strzela: hrabia z kulą w piersi wraca na scenę, aby umrzeć w oczach niewiernej żony; Elias szczęśliwie się ocala i jeżeli go nowa kula republikańska nie powali, możemy sobie sami dorobić epilog z małżeństwa, — tej błogosławionej instytucji, która i w życiu i w sztuce tak nieocenione przynosi korzyści.

Obrazek Legouvé'go, dzięki talentowi, wprawie pisarskiej i stylowi autora, zasługiwał, istotnie, na przyswojenie i przedstawienie; ale przyznając mu zalety w arcydziełach tylko spotykane, straszliwie go przechwalono. Jest w nim, i zapusto i zaciasno; pusto, bo brak charakterów działających, ciasno, bo zawiele anegdotycznych szczegółów; porządek policyjny zaprowadzony przez Carryera zanadto do wymagań sztuki naciągnięty; pozostawienie wyboru Annie pomiędzy mężem i kochankiem, tak już sztuczne, że nie sprawia wrażenia dramatycznej; wreszcie konieczność takiej a nie innej spowiedzi nie znajduje żadnego usprawiedliwienia w żarliwości religijnej Moréaca, a wstawienie uroczystego aktu w sztukę dokonywa się w sposób mechaniczny, stolarski, nie organiczny, jakiego od prawdziwej poezji wymagać mamy prawo. Jeden tylko Lambert ma jasno określony charakter i on też jeden działa rzeczywiście w sztuce. Wobec tych wszystkich wad są jednak w obrazku Legouvé'go i rzetelne zalety. Za takie uważamy: piękne wprowadzenie słuchacza do świata royalistowskiego przez Annę de Kerviler, jasność kolorytu moralnego w Lambercie, odbijającą korzystnie, i dla estetyki, i dla etyki, od ponurego tła wściekłości republikańskiej, wreszcie to wszystko, co dał już sztuce sam styl, nie ten najwyższej wagi styl ściśle dramatyczny, który umie wytwarzać silne budowy i charaktery, ale styl ogólnie pisarski, malujący pięknie to, co architektura i rzeźba dramatyczna gorzej lub lepiej wytworzyły. W większej połowie tych sztuk, których się słucha i o których się mówi, styl danemu pióru właściwy główną ich zaletę stanowi.

Sztukę Legouvé'go odegrano starannie. Pan Królikowski przekleństwem i konaniem porwał salę. Panna Marcello dobrze oddała dumę royalistowską w pierwszej potyczce z sierżantem. Bohaterska z początku dusza Anny Kerviler, maleje później i schodzi na niziny sztuczek efektywnych, w których oddaniu rutyna już samo wystarcza. Jeżeli p. Tatarkiewicz nie sprawił wrażenia, to nietylko z powodu nieodpowiedności roli, mającej zacięcie bohaterskie, ale i dlatego, że i sam Elias Moréac wrażenia nie sprawia. Przypuszczamy, że sierżant mógłby znaleźć sobie lepszego przedstawiciela na scenie; ale i z p. Grzywińskiego zadowolonym być może.

Kto nie widział Żółkowskiego w *Stomianym człowieku*, ten nie doznał przyjemności, jaką darczy słuchacza doskonałość gry sceniczej. Szkoła nawet takiego artyzmu dla sztuki, którą, odważając wszystkie za i przeciw, ostatecznie słabą tylko nazwać można. Jedynie Żółkowski ją utrzymuje, poparty dobrą grą swych kolegów, a sam z tego powodzenia, jakim cieszy się *Człowiek* tak, ale tylko tak, przedstawiony, lwią część dla siebie zabiera. Nie żądajcie lepszego wcieśnienia myśli autora w osobę fizyczną aktora: niepodobna stanąć wyżej, i na tej wyżynie, na jakiej stoi Żółkowski, podziwiać go tylko można. Zkąd się w tym człowieku, który przekroczył już siedmiesiątkę, bierze tyle sił, lekkości, zapału komicznego, niewiedzącej o sobie naiwności, wszystko przejmującej swobody, która na każdym kroku życie w miejsce sztuki podstawią i daje najdoskonalsze złudzenie rzeczywistości? — daremnie-byśmy o to pytali. Tajemnica tej niespożytej siły artyzmu tkwi w wyjątkowej organizacji: artyści sceniczni, jak i poeci, rodzą się. Żółkowski do wrodzonego talentu dodał jeszcze ogromną pracę; ale dzięki talentowi ta praca znikła jako trud, została tylko jako umiejętność doskonała, niezawodząca nigdy a podbijająca zawsze. Zdaje ci się, iż to improwizowane: a to wypracowane; mniemasz, że to życie i rękę wyciągasz, aby je pochwyć: a to tylko gra, tylko sztuka — ale

sztuka, na jaką dziesiątki lat czekać trzeba, i często — czekać nadaremnie. Patrząc na tę grę, porywającą przez swoją żywotność i prawdziwość, stawiającą śmiało własne wytwory obok tworów natury i nielekającą się porównania, przypominamy sobie zawsze rozmowę prowadzoną przed laty z najpierwszemi powagami krytyki teatralnej — właśnie o Żółkowskiego, o genialność artystów scenicznych wogóle. Sami tylko broniliśmy tej tezy, pod genialnością rozumiejąc takie już natężenie talentu, przy którym on przestaje być prostą zdolnością, a staje się siłą porywającą, sprawiającą wrażenie czegoś tajemniczego, co się odgadnąć i ująć w kleszcze rozumowania nie pozwala i drwi sobie z wszelkich formulek, reguł, schematów, szkół i prawideł: jest, bo jest, i dlatego takim jest, a nie innym, że jest. Kto w Żółkowskim takiej siły wyższej nie widzi, ten ma jeszcze oczy zamknięte, i na wiele zagadnień estetycznych, i na samą naturę tej niepospolitej organizacji. Zapewne: nie wytwarza Żółkowski nowych myśli dla społeczeństwa swego, dla ludzkości, nie wygłasza prawd wielkich, patrzących w przyszłość ze szczytu piramid, nie czaruje światła poezją, nie podbija filozofią, nie rozcina krytyką; ale też nie potrzeba tego wszystkiego, aby być genialnym w swoim kierunku, w swoim zawodzie, na swoim polu działalności artystycznej. Geniusz nie istnieje w oderwaniu, bez granic, bez kształtów określonych, nie jest ani powietrzem, ani eterem, i musi przynieść w sobie swą własną masę, własny prąd, kierunek i drogę. Geniuszów uniwersalnych niema. Napoleon był najgorszym politykiem, a życia duchowego, konieczności duchowej nie rozumiał wcale; między poetami genialnymi mało jest genialnych myślicieli, a prawd pozytycznych, z których ludzkość korzysta, więcej wygłosiły umysły tylko rozumne niż duchy genialne. Geniuszem w sztuce jest siła tworząca doskonale piękno i doskonałą prawdę w sposób swój własny i własną swą siłą. Sztuka sceniczna ma tworzyć osobistości żywe z rysów czysto intelektualnych, jakich jej dostarcza poeta lub pisarz. Wielu idealną osobę sztuki w fizyczną osobę własną; wielu tak, aby niczego nie spaczyć i nie uronić: to powołanie artyzmu scenicznego. Kto wcielanie to posunął do doskonałości, a mechanizm, którym się przytem posługiwał, ukrywa tak głęboko, że go pod zjawiskiem piękna i prawdy nikt nie dostrzeże; kto zawsze i wszędzie tworzy w takisam sposób i zawsze jest sobą i przez siebie: ten stanął na wysokości sztuki doskonałej, sztuki wyjątkowo potężnej, dla której właśnie pojęcie i mowa znajdują wyraz w genialności. Zarzucają — i w owej rozmowie zarzucono mi — że aktor nie może być genialnym, bo nie jest twórczym, a nie jest twórczym, bo tylko odtwarza. Nie racya! Aktor wyższy wiele rzeczy wytworzonych przez poezję i pisarstwo poprawia, uzupełnia, wiele niewytworzonych dotwarza, a nade wszystko, mając gotowy już wytwór intelektualny, uzewnętrznia go, ucieleśnia, przenosi ze sfery myśli w sferę rzeczywistości: a sztuka, twórczość potrzebna do tego przeniesienia — jest już jego własną sztuką, jego własną twórczością. Artysta sceniczny ma tak dobrze własny swój styl, to jest trwały a dobry sposób odtwarzania osobistości ludzkich, fizycznie żywych, jak poeta, jak wyższy pisarz, artysta plastyczny i muzyk. Odróżnił od geniuszu bezimiennosci; odniemy go do sztuki; zamknijmy w granicach doskonałości twórczenia w ściśle oznaczonym, autonomicznym jego zakresie: a nie trudno nam będzie dojść do rozjaśnienia pojęć i ustalenia sprawiedliwszego poglądu na wartość talentów aktorskich.

Komedia Jordana zawiodła oczekiwania nasze: od dowcipnego autora *Wędrowek Delegata*, w których widać, nietylko dowcip, ale istotny talent dostrzegawczy i pisarski, mogliśmy spodziewać się czegoś, coby już i literaturę i scenę wzbogaciło i nie potrzebowało, zostawać na łaskawym chlebie doskonałej gry sceniczej. Kardynalną wadą tej sztuki jest wytworzenie farsy w formach komedii, zespolenie nieprawdopodobieństwa i przesady w rysunku i kolorycie z powagą planu, rzeczywistej komedii właściwą. Do tej wady przyłącza się ubóstwo pomysłowe charakteru głównego, jego dziecinność, rażąca wobec stosunków do sztuki

ki wprowadzonych. *Stomiany człowiek* wypełniły jeszcze od biedy jeden akt—ale na trzy nie ma już treści i siły; aby go zaś w jednym akcie zamknąć, na to potrzeba zmienić zupełnie jego otoczenie, czyli nową sztukę napisać. Sama teza nie utraciła jeszcze swej zjadliwości satyrycznej w obec naszego społeczeństwa: *strohmaństwo* jest jeszcze chorobą rozpowszechnioną w Galicyi a nie zupełnie nieznaną i w Warszawie. Wprawdzie wielkie przedsięwzięcia finansowe *Strohmanów* pozycychnych ze świata, coraz mniej już potrzebują—czasami tylko na gorętsze zebrania ogólne sprwadzają ich hurtem, nie przyjmują już jednak śniadankami, które w taki zachwyt wprawiają Piorunowicza; ale jest wiele jeszcze instytucji, w których ta słoma ludzka drogę do uznania i powagi społecznej „naszym zasłużonym“ wysięcia. Inna rzecz: czy kiedykolwiek z usług takiego głupca, takiego ograniczonego błazna jak Piorunowicz, największą nawet potrzebą przycięnięta instytucja finansowa korzystać mogła; w samej zasadzie jednak Piorunowicz jako typ — nie utracił swej żywotności dla sceny. Gdyby autorowi było szło więcej o satyrę, a mniej o humoreskę; gdyby był, tworząc Piorunowicza, zapatrzył się trochę na „Jeniakiewicza“ Fredry; gdyby był w grunt poważnego satyrycznego komizmu zasiał kwiaty rzeczywistej komiczności: nie raziłoby owo przedawnienie form niespotykanych dziś już w stosunkach finansowych. Jordan posuwa nieprawdopodobieństwo do ostatecznych już granic, gdy nakazuje Piorunowiczowi nie wiedzieć co to *dywidenda*, co *waluta*: wszak o tych rzeczach dziś już wróble na dachu szczebiocą.

Otoczenie *Stomianego człowieka* nie ma ani dostatecznej oryginalności, ani dość silnej charakterystyki. Takiego buraczano-cukrowego blegiera jak Sylwin, potrzebaby szczególnie w indywidualność wyposażać, aby mógł być nowym i zajmującym. Kancellista swej żony, wiecznie jej szukający, jest dobry, ale w głębi obrazu jako przystawka. Sama pani-żona stoi jeszcze poza obrębem rzeczywistej prawdy obyczajowej. Oboje Gilewiczowie przypominają Żmijskich z *Netopery*; jak znowu Wątróbski nasuwa na myśl owego radcę śledziennika z tejsamej sztuki. Gdyby Jordan lepiej władał rylcem satyry, ten zazdrośnik, wzdychający do przestępstwa, ale niemający do niego odwagi, mógłby ukształtować się na dobre przeciwstawienie bohatera sztuki; przy przewadze zaś dążności humorystycznej pozostać musiał wytworem bez wyrazu.

Stanisław Krzemiński.

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Nowości przedsięwzięte.—Scherr. — Dahn'a „Bissula”. — Powieść i teatr. — Thumann'a ilustracje. — Heine. Pamiętniki i wspomnienia Weill'a. Matylda Heine. Religia i żona. Sąd o wdowie poety. — Paweł Lindau w Ameryce. Studzy. Sztuka. Tytuły. — Pamiętniki zakazane Horacego hr. de Viel Castel. Sądy o Cesarstwie. W. Hugo. Lamartine i t. d.

Ostatnie zeszyty tegoroczne miesięcznych pism peryodycznych nadeszły zgrubiałe, ciężkie, wypchane, przepelnione ogłoszeniami czarnemi, czerwonymi, ilustrowanymi i poubranymi w typograficzne najwykwintniejsze ornamenta. Z ciekawością wzięliśmy je do ręki, spodziewając się, że nam nareszcie przyniosą wiadomość o płodach muzy znakomitości niemieckich: zwykle bowiem w tej porze roku na świat się one ukazują, i w ten sposób służą razem za podarki — na gwiazdkę. Zawiedzione nadzieje! Spisy i ogłoszenia zawierają mnóstwo bardzo pięknych, ale bardzo mało nowych rzeczy. Głośniejsze imiona błyszczą nieobecnością swoją. Najnowsze utwory niezrównanego nowellisty Pawła Heyse, to—dramata! Spielhagen zapowiada także dramat na ukończeniu; Lindau po powrocie z Ameryki daje nam szkice z podróży i obiecuje powieść—ale czy dotrzyma? Dramat go też skusić może, bo mu się z niemi wiodło szczęśliwie.

Wyjątkiem jest Scherr, którego książkę szkiców i obrazków, oznajmuje „Biblioteka salonowa“ Prochaski w Wiedniu; ale po „Porkelesach“, tak fatalnie chybionych i niesmacznych, pisarz ten, pełen werwy i życia—nie obudza już tego, co dawniej, zajęcia. Ebers milczy, choć krytyka dla ostatniego jego opowiadania była dosyć pobłażającą. Felixa Dahn „Bissula“, powieść z prastarych germańskich czasów, zdaniem wszystkich, jest próbą niezbyt szczęśliwą, która obok prac poważnych tegoż autora stanąć nie może. Zbyt szablonowo i trywialnie zbudował ją utalentowany poeta.

Znaczna część niemieckich poetów i literatów od powieści i romansu zwróciła się ku scenie, chociaż talent dramatyczny nie każdemu jest dany, a nauczyć się budowania tragedii i komedii trudno, gdy kto na poetę dramatycznego stworzonego tego zarzutu; ale zdawałoby się, że na wybór tej formy—niestety—wpłynęło i to, że dramat sławę i groszem stokroć się lepiej oplaca, niż romans najlepiej przyjęty. L'Arronge więcej zarabia niż Heyse i Spielhagen, a nie mniej od nich jest popularnym, choć... Za złe wziąć nie można tej pamięci o sobie pracownikom tam, gdzie, jak w Niemczech, w najszcześniejszych razach, literatura daje za ledwie przyzwoite, ale skromne, utrzymanie—a teatr prędko z bogactwa.

W katalogach, o których wspomnieliśmy, jak w roku przeszłym, tak i teraz, przeważają dzieła illustrowane. Na czele ich pod względem artystycznym postawi należy przesłane rysunki profesora Thumann'a, do *Psychy* Hamerlinga i do *Księgi pieśni* Heinego—choć ta ostatnia do illustrowania była nadzwyczaj trudną.

Gdy raz mowa o H. Heine'm, nie możemy pominąć i my odkrytych jakoby (drudzy mówią podrobionych) „Pamiętników poety“, które mają się drukować w Paryżu. Powstała o to polemika. Familia Heine'go, brat mianowicie, utrzymuje, że „Pamiętniki“ on jeden odziedziczył i teraz jeszcze ich drukować nie będzie; paryżcy wydawcy bronią autentyczności rękopisu i druk jego przedsięwzięcia. Zobaczymy.

Nim to nastąpi—wspomnienia Heine'go w literaturze niemieckiej i francuzkiej ciągle się jeszcze zjawiają, coraz-to nowe. Jest to jeden z tych szczęśliwych, sympatycznych ludzi, którzy obudzają zajęcie, może dlatego, że byli dla współczesnych zagadką. Następcy, choć obfitszy do sądu o nich mają materiał z pewnych względów, mniej może jeszcze potrafią pojąć ich majątkową indywidualność. U Heine'go psychologiczne zadanie w ostatku życia komplikuje się patologicznem. Choroba ciała w historii ducha bywa też czynnikiem, którego lekceważyć się nie godzi.

Do tych wspomnień nowszych, a przynajmniej niedawno wydanych, należą zajmujące: „Souvenirs intimes de Henri Heine“, par Michel Weill. Paryż, Dentu, 1883, pp. 144). Weill przez lat piętnaście był w najściślejszych stosunkach z Heine'm i żoną jego Matyldą. Tę ostatnią szczególnie bardzo żywo, bardzo wiernie i bardzo, jak się zdaje, prawdziwie odwzorował we swych „Wspomnieniach“. Była to kobieta bez wychowania, bez wykształcenia, biedna, której całe bogactwo składała uroczą jej piękność—płochą napozór, nie dbającą o pozory; pomimo-to, Weill jej oddaje sprawiedliwość: była przywiązana i wierna, nawet poza grobem, poecie.

„Byłem złym komedyantem—mówił raz Heine do przyjaciela — nie spożytkowałem w życiu wszystkich sił moich. Świat wziąłem za bal maskowy, i chodziłem po nim z fałszywym nosem, prawiając prawdy dominom różnego koloru.

— A na dobitkę nieszczęścia — odparł Weill — ożeniłeś się z jednym z tych domin.

— A! — rzekł — gdybym był żoną dostał, jak twoja!

— Ale — odezwał się Weill, — żonę ma każdy taką, na jaką zasługuje. Szukałeś piękności: masz ją. Ja chciałem rozumu, i znalazłem go także.

— Ale, ba! — zawołał, podnosząc się i siadając z trudnością, Heine:

Czy człowiekowi wolno jest sobie wybrać żonę? Ani urodzenia, ani religii, ani żony sobie nie wy-

biera. Człowiek ma tylko jedną swobodę: wolno mu umrzeć. Pan Bóg nie dał mu więcej.

— Ale ci wolno przecież zmienić religię, a nawet ojczyznę?

— Nie, religii się nie zmienia—rzekł Heine. — Opuszcza się jedną religię i traci dla drugiej, której się nie pozyszcze. Jestem *ochrzczony*, ale *na-wrócony* nie jestem.

Mała to próbka z ciekawych poufnych rozmów, które Weill przytacza.

Heine przybył do Paryża (idziemy za wspomnieniami) po Rewolucyi Lipcowej. W r. 1832, przechadzając się po passażu Choiseul, zobaczył po raz pierwszy Matyldę, która sprzedawała w sklepie rękawiczki. Była ona rodem z prowincyi. Wychowanie tak zaniedbane przyniosła z sobą, iż Heine musiał się starać o nadanie jej choć powierzchnowej ogłady, której nabyła niewiele. Poniemiecki nie nauczyła się nigdy nic, oprócz kilku słów; poezyi męża nie znała wcale, z wyjątkiem kilku strof przetłómaczonych. Przywiązanie się do męża nie ulega wątpliwości, ale zdaje się, że jeszcze mocniej była rozkochana w ulubionej papudze. Heine był o żonę dziecinnie zazdrosny.

Poeta zmuszony, — jak sam powiadał Weillowi—dogadzać fantazyom pani Matyldy, odepchnięty przez stryja Salomona, bankiera, który, mając około trzydziestu milionów majątku, kilku tysiącami franków zbywał synowca, — przyjął pensję od rządu francuzkiego, i to mu wielce zaszkodziło w oczach ludzi, chociaż powiedział o sobie, że się nie sprzedał, ale się oddał (je ne me suis pas vendu, je me suis rendu). Weill większą część nieszczęść w życiu poety przypisuje małżeństwu jego.

Nie możemy i nie chcemy wyczerpywać całej tej oryginalnej i ciekawej broszury; damy tylko jej zakończenie:

„Po śmierci Heinego, Weill spotkał ją razy kilka, zawsze jeszcze piękną, choć trochę otyłą i zawsze w towarzystwie dwóch białych psów swoich. Oznajmiła mi (pisze), że chciała sprzedać wszystkie listy, jakie miał jej od sławnych ludzi odbierać! *Sprzedana już była wprzódy pamiętniki mężowskie, które zostały zniszczone.* Żyła z pensyi, którą jej dawała wdowa po Karolu Heine i z drugiej jakiejś, która przejęć miała na wydawców dzieł męża. Uczyniłem jej uwagę, że nie miała prawa ogłaszać listów, które są własnością tych, co je pisali. Wyznała mi, że gdybym ja był się zajął jej interesami, nie miałyby tyłu kłopotów. Ale—odparłem—zdaje mi się, że pani masz jakiego opiekuna?—Ja! Nigdy w świecie!—odparła—to potwarze. Znaś mnie pan lepiej, niż inni.

„Faktem jest, że nie wyszła więcej za męża, ztem ją znał zawsze uczciwą i cnotliwą. Gdyby głowa jej odpowiadała sercu, byłaby cudowną kobietą.— Niech odpoczywa w pokoju! Złego nie uczyniła nic nikomu; oprócz mężowi, który jej przebaczył—przyszłość pójdzie za jego przykładem“.

Paweł Lindau, który, jakeśmy mówili, powrócił z przejażdżki po Ameryce i przebiegł ją w bardzo krótkim przeciągu czasu, niemal z końca w koniec, miesi w swoim przeglądzie pobieżny szkic życia i obyczajów w Stanach Zjednoczonych, który wyrazistością, trafnością spostrzeżeń odznacza się i charakterystycznymi rysami kilku, i maluje lepiej Amerykę, niż całe tomy z rozwodnionych rozpraw o niej. Lindau ma rzut oka—romansopisarza, który chwytą główne, wybitne strony, te rysy, które za sobą pociągają logicznie cały szereg faktów, jakich się czytelnik łatwo domyśli.

Jednym z uderzających faktów życia amerykańskiego jest — brak sług i obchodzenie się jaknajmniej ich ilością. Obywatel Stanów Zjednoczonych nie czuje się stworzonym na lokaja — posługuje niechętnie, z musu, i jakszy tylko może, wyręcza się Murzynem lub Chińczykiem. Wedle naszego podróźnego, Murzyn jest nieznośny, Chińczyk doskonały jako sługa.

W Ameryce chwałą ich wszyscy. Ale są domy zamożne, dostatnie, w których wcale sług niema, są chwilowo przychodzący—robotnicy. Sama pani domu, starsze dzieci posługują; gość musi sam o sobie pamiętać. Wszystko zresztą tak jest ułatwione, zbliżone, iż służba byłaby zbyteczną.

Pod względem smaku i poczuciu piękna, chociaż się one wyrabia i wzrasta, Ameryka stoi—

bardzo nisko—Ozdoby i sprzęty, obrazy (oleodruki) byle były błyszczące, pozłociste, jaskrawe—nie wymaga się od nich nic więcej. Jednakże tworzą się już powoli galerie prywatne i muzea. Sami Amerykanie niechętnie się poświęcają zawodowi artystycznemu, ale z Europy płyną do Ameryki setki obrazów, które tu kupców nie znalazły, oraz tandetnych posągów włoskich.

Do cech wybitnych należy u republikanów (co zresztą i we Francji się powtarza)—zamiłowanie w tytułach i mundurach. Generalów i pułkowników spotyka się na każdym kroku, nawet jako gospodarzy po garkuchniach i kupców po sklepach. Właściwej arystokracji niema, ale na ochocie do stworzenia jej nie zbywa.

Pamiętniki hrabiego Horacego de Viel Castel (Mémoires du Comte Horace de Viel Castel sur le règne de Napoleon III. (1851 — 1864) publiés d'après le manuscrit original, avec une préface par L. Léouon le Duc. Paris (Berne). I—III Vol.) po ukazaniu się pierwszego ich tomu w Paryżu, natychmiast we Francji zakazanymi zostały. Reszta wyszła podwakoć przedrukowana w Bernie.

Mozna się było dziwić zabronieniu rozpowszechnienia dzieła we Francji, gdzie wszystko, co kto chce, pisze się i drukuje; ale wzięwszy osobliwą tę książkę w rękę — zakaz zupełnie uznajemy usprawiedliwionym. Jest to najpierw rzecz niewysławionej brudna, z cynizmem obrzydliwym pisana; powtórnie pełna fałszów i najnieodrzeczniejszych plotek, które często sam złośliwy a łatwowierny autor prostować musiał; na ostatek: ani stylem, ani jakkolwiek bądź zaletą nie okupuje tego, czem razi czytelnika. Wydawca, p. Leouon Le Duc, dał tym notatkom, „czarnym książeczkom“ jak je autor zowie, bardzo niewłaściwy tytuł pamiętników, na który one żadną miarą nie zasługują: są to poprostu urywki dziennika, w którym Viel-Castel zapisywał, co słyszał, ani o styl, ani o formę się nie starając, a tego, co mu było do smaku, nie poddając żadnej kontroli.

Dobitnie maluje się w tem charakter człowieka zawistnego, zazdrosnego, zarozumiałego, próżnego, nieumiejącego ludzi ocenić, chciwie polującego na wszystko złe, jakie o kim mógł pochwycić, powtarzającego nieznośnie oszczerstwa i łajania, wyszukującego plam i rozkoszującego się w nich i w brudach.

Niewątpliwie epoka i dwór, na którym żył Viel-Castel mogły usposobić do pesymizmu, nie brakło skandalów, mało było ludzi czystych wkoło niezbyt też jasnej postaci Napoleona III; lecz takiego steku obrzydliwości, jaki tu znajdujemy—nawet ów czas nie mógł wytworzyć.

Z wyjątkiem samego cesarza Napoleona, którego Viel-Castel nazywa dyamentem leżącym w gnoju—niema prawie ani jednej figury w jego pamiętnikach, którejby autor nie zbluzgał. Domownik i przyjaciel ks. Matyldy, nie oszczędza i jej nawet, a ks. Plon-Plon poprostu z błotem miesza; również Canino, Patersonów i starego króla Hieronima. Dla cesarzowej jest z pewnem poblazajacem poszanowaniem, lecz i tej nie przebaca najmniejszej usterki, choć obdarzany przez nią i głaskany.

Z literatów, uczonych, znawców kunsztu, do których sam Viel-Castel się liczył, ani jeden nie ostał się całym. W. Hugo, Dumas, Soulié, pani Sand — odmalowani jak złoczyńcy, inni jak głupcy, a nade wszystko jako niepoczciwi egoiści, nieprzyjaciele kraju... Wyrazy, jakimi ich piętnuje, zawsze powracając do jednych zarzutów i potwarzy, nie dają się powtórzyć... Fraszka Zola i jego szkoła...

Książka, która w początkach drastycznością swoją obudza rodzaj zajęcia przykrego—w końcu nuży nieustannem przypomnieniem jednych i tych samych grubiańskich, ulicznych wyrażań i dobo-rem faktów, które do najmniejszych pamfletów się nie kwalifikują.

Czy było tak źle w istocie za Napoleona III którego autor głosi zbawcą społeczeństwa, porządku i ładu?—Niewątpliwie; lecz, pomimo to, Viel-Castel przesadza i staje się organem gminu ulicznego, który sądzi o wszystkim, co wyżej stoi nad niego, na podstawie swej nienawiści ku niemu.

Urzędnikiem będąc w biurach zarządu muzeami

pod p. Nuewerkerk'e, potem sekretarzem pierwszym pod nim, codziennym gościem prawie u ks. Matyldy — ocierał się ciągle Viel-Castel o dwór, o Bonapartych i ludzi, co ich otaczali... Ani jeden z tych nie był w jego oczach czystym, ani jeden nieskazitelny, a—z wyjątkiem cesarza, ani jeden umyślowo wyższym. Nie lepiej maluje się przeszłość, legitymiści, orleaniści i — naturalnie, republikanie. Lud paryżki, jest według niego, najnikczemniejszą szumowiną...

Siebie, oczywiście, sądził Viel-Castel do zajęcia najwyższych stanowisk zdolnym—*inde irae*—stosunkowo miał się za pokrzywdzonego, za nieopisanego i nieocenionego. Sto razy powtarza, iż brzydzi się tym światem, wśród którego żyje. Po mimo to, chodzi na dobre obiady do ks. Napoleona, którego łotrem zowie, a nawet do Verona i t. p. Najmniejsza oznaka łaski, grzeczność i przysługa, modyfikuje usposobienie. Ks. Matylda jest narzeczianą słabą, pozbawioną taktu i dobrą a rozumną nawet, inni również wpadają w niełaskę lub zyskują w opinii (jak Nuewerkerke) w miarę jak służą autorowi albo przeciw niemu przewiniąją, choćby prostem zapomnieniem.

W tych *czarnych książeczkach* swych Viel-Castel zawarł całą zemstę, wylał w nie całą żołąć, z którą jawnie za życia wystąpić nie śmiał.

Wydawca Léouon Le Duc w przedmowie, która poprzedza pamiętniki, jest dla autora do zbytku poblazającym. Idziemy za nim w skróceniu krótkiego życiorysu. Urodzony w r. 1797, Horacy należał do rodziny, którą najściślej węzły łączyły z Bonapartami. W młodości był świadkiem narodzin pierwszego cesarstwa, ztąd miłość jego ku niemu. W r. 1851 powitał Viel-Castel odrodzone cesarstwo jako zbawienie Francji. Léouon-Le duc, wydawca, chwali go z bezinteresowności i poświęcenia Neapoleonidom, z niezależności charakteru; ale w książce więcej to wygląda na zgryźliwość, niż na prawdomówność. Zdaje się, że hrabia, położeniem swem, imieniem, przekonaniem, nadawał się do dyplomacji drugiego cesarstwa, wśród której jednak pomieścić się nie mógł. Zbytek go, dając mu posadę konserwatora, a potem głównego sekretarza zarządu muzeów. Usposabiało do tego zajęcie się sztuką i jej znajomość. Viel-Castel był potrosze dyletantem artystą, dyletantem poetą (przyjacielem Alfi de Musset) i dyletantem krytykiem. Pisał romanse, opowiadania historyczne i studia artystyczne. Obok Luwru miał rodzaj pracowni-salonu, w którym wieczorami zbierali się jego przyjaciele i na gawędkach literackich, rysowaniu karykatur, odczytywaniu wierszyków, spędzali wieczory dopótna, po urzędowych recepcjach u cesarstwa.

Niema się dziwić czemu, że złośliwość Viel-Castela, jego łatwowność, gdy szło o czarne strony, sądy namiętne o ludziach, zjednały mu więcej nieprzyjaciół, niż zwolenników, i że to wpłynęło na stanowisko jego przy dworze. Nie lubiono go, usuwano, co, naturalnie, zwiększało jeszcze zgryźliwość i niechęć ku wszystkim niemal, co go otaczali. W dzienniku odbija się to drastycznie, grubiańsko, niekiedy gwałtownie i namiętnie.

Jakieśmy wyżej mówili, z wyjątkiem cesarza, niema, ani w rodzinie, ani na dworze, ani w społeczeństwie, jednego człowieka, któregooby Viel-Castel nie oczernił, i nie miał mu coś do zarzucenia. Dostaje jest najnieodrzeczniejszej plotki, aby ten, który wczoraj był wielbionym i przyjacielem, zrzucony został z piedestału i umazany błotem. Niektóre potwarze doniesienia ciągle powtarzają się. Choć Napoleon, według niego, był genialnym, rządy jego maluje Viel-Castel jako najnieodrzeczniejsze, zepsucie, demoralizacją, jako powszechną — bez wyjątków niemal. „Faktem jest—pisze—że cesarz pozostał tak popularnym, jak był przed piętnastu laty, a rząd jego wcale nim nie jest. Zkąd pochodzi ta anomalia? Oto ztąd, że agenci władzy, zamiast naśladować niezmierną dobroć głowy rządu, jego prostotę i skromność, nadymają się tą siłą, jaka im została nadana, myślą tylko o sobie, a o potrzebach ludności zapominają i zaniedbują je. W administracji panuje rutyna i nieprzystępnosć. Prefekci wyglądają na paszów i wolę swą chcą narzucać ludności. Rząd cesarski był najszczęśliwszym w świecie, ale go splamili ludzie z nim będący

w stosunkach, kompromitujący swemi spekulacjami. Prassa, zamiast kontrolować czynności agentów władzy, stała się służebniczą lub buntowniczą“. Przytoczony ustęp jest jednym z najumiarkowańszych—w innych są wyrażenia, których powtórzyć nie podobna.

Na próbkę jeszcze o Wiktorze Hugo: „W. Hugo miał wczoraj (17 Lipca, r 1851) najpodlejszą, najobrzydliwszą mowę, jaką kiedy słyszano... Ten człowiek jest najnędnym łotrem, pycha w nim szatana, a serce gałganiarza. Tchórz i złośnik, ma szczególnie do sądownictwa żal, o którym mówił swemu szwagrowi p. Foucher, że je kiedyś zdepcze nogami. W. Hugo długo zebrał o parowstwie, i otrzymał je za pośrednictwem ks. Orleańskiej, której potrafił wmówić, że spełnia życzenie męża, okrywając mu ramiona płaszczem gronostajowym. Naówczas jeszcze W. Hugo nie łązał książąt, ale im dworował. Dziś stoi na czele gromady młodych demagogów... Ci młodzi jego sprzymierzeńcy czczą go jak bóstwo, a nędznik napawa się z rozkoszą kadzidłem“.

Następuje skandaliczna plotka o nim i o pani Biard, a o kilka stronnie dalej: „Całe to stado Hugów, jest rodziną błotnistych węzów, którzy kąsać tylko umieją; byle mówiono o Hugach, gotowi grać rolę zbrodniarzy pierwszej zewolucji; łotry te pukają z dumą, a na ojcu ich dawno się skóra popadała, i pycha nią ziele na wszystkie strony. Poeta ten nadęty, któremu przyszłość wymierzy swą sprawiedliwość, sądzi, że cały świat ma na niego zwrócone oczy. Jest to człowiek, co popełniłby największy występki, jak pisze najgorsze wiersze (!), byle na siebie zwrócić uwagę“... *Ex uno disce omnes*... O Lamartine pisze: „Lamartine, pochlebający tłumom, dworzani ryszkiotów, aby się okazał niezależnym. Niegdyś królowie miewali pochlebców, dziś błoto ma szambelanów“! Trochę później o tymże: „Mam wstręt największy do tego człowieka... Jest to zlepek, nie ambicyi, ale dziecinnych próżnostek, dla których zaspokojenia gotów wszystko poświęcić. Musi ciągle mówić o sobie, musi się chwalić nieustannie i otaczać dworakami... Najniegrzeczniejsze pochlebstwo mu smakuje.—Na uczcie swych wydawców był — nikczemnym, w mowie starał się do-wieść, oile dzisiejszy piszący jest większym, szlachetniejszym, godniejszym od swych poprzedników... Pan de Lamartine nie dworuje królom i magnatom, bo cóżby mu to przyniosło? ale pp. Gosse-lin, Didot i Paulin, zaleca się i wysławia ich, jako mecenasów“.

W takim tonie pisana jest cała ta książka. Stek żołąci, brudów i potwarzy, bo nawet to, co ma podstawę prawdy, jest tak wyszpecone, że prawdą być przestaje. Wielka wrzawa, jaką zrazu wywołały te pamiętniki, ustała, gdy się z niemi bliżej zapoznano... Pod względem literackim wartość żadna, a jako kronika skandaliczna dworu Napoleona III—bardzo mała.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

— Księżna Zuzanna Czortoryska otrzymała podziękowanie publiczne, wygłoszone przez Dr Zoll, przy zamknięciu Wystawy Zabytków z epoki Sobieskiego, a to za pobudzenie do tejże wystawy, oraz trudy gorliwie łożone, aby przedsięwzięcie odpowiedziało celowi swojemu.

— Konkurs imienia Pauliny Krakowowej, rozpisany przez przełożone żeńskich zakładów naukowych w Warszawie, na dzieło przeznaczone dla dziewcząt dorastających, a mające wedle programu konkursowego przedstawić „obraz dziewczęcia i wzoru dojrzałej kobiety, na tle stosunków społecznych, potrzeb chwili bieżącej i wymagań zdrowo zrozumianego postępu“—spełzył na niczem. Sąd konkursowy, złożony z pań: Jadwigi Sikorskiej, Maryi Ilnickiej; z panów: x. Zygmunta Chełmickiego, Piotra Chmielowskiego, Floryana Łagowskiego, wyróżnił z pomiędzy czterech nadesłanych rękopismów, dwa, jako lepsze: „Nasza dziewczeczka“, „Dziennik Elżuni“, ale żadnemu

z nich nagrody konkursowej nie przyznał. Konkurs został na dawnych warunkach powtórzony; termin nadsyłania prac konkursowych oznaczono po dzień 1 Stycznia 1885 r. Dziełko konkursowe powinno objętością nie przenosić jednego tomu średniej szesnastki; nagroda jest 300 rs. w zamian za rękopismo, odstąpione na własność wydawnictwa. Programmat żąda okazania w dziełku konkursowym: „dodatnich i ujemnych stron rzeczywistego życia, odmalowania pragnień, nadziei, zawodów, walki człowieka z okolicznościami i samym ze sobą“. Między przymiotami, któreby tu były pożądanymi, zaznaczył mężstwo, któreby nie dało upaść pod naciskiem przeciwności: „zdolne w danym razie natchnąć kobietę odwagę i przy świadomości spraw świata wytworzyć w niej siłę, mającą skutecznie wspierać ją samą i drugich“. — Rękopisma z zachowaniem zwykłych formalności konkursowych, należy nadsyłać pod adresem p. Jadwigi Sikorskiej, ulica Marszałkowska Nr 79.

— W Muzeum Pszczolniczym na Koszykach uczy się obecnie tak teoretycznego, jak praktycznego pszczolnictwa kobiet 23, wśród ogólnej liczby 98 osób. Przez czas siedmnamiesięczny trwania Muzeum Pszczolniczego uczyło się tamże 640 osób; między temi było 37 kobiet, co jest bardzo mało, gdy się pomyśli, że pszczolnictwo jest jedną z tych gałęzi gospodarstwa wiejskiego, którą na dział pracy kobiecej, szczególniej zalecić można. Pszczolnictwo, dające się wybornie połączyć z sadownictwem i jedwabnictwem, może razem dać kobiecie, obracającej małym kapitalikiem, zarobek dobry bez uciążliwej i przykrej pracy.

— Dnia 28 Listopada zmarła we wsi Bleszno (powiat Radomski) p. Jadwiga Borowska, która w charakterze wyręczycielki pani domu, przebywała w jednej rodzinie, dziedziców Bleszna, Młockich, lat 62. Był to niewymownie piękny stosunek ze stron obydwóch i obydwom zarówno zaszczyt przynoszący. Tu była sumienna, poświęcona praca, wierność, uczciwość, głębokie pojęcie obowiązku, tam uznanie zasługi, uszanowanie, pracy szlachetnie pełnionej: aż wytworzył się z tego razem związek, oparty zobopólnie na podstawie tkliwego uczucia przyjaźni i serdecznego przywiązania, które z rodziców przeszło spadkiem na dzieci, aby trwać więcej niż pół wieku i przedstawić oczom ludzkim wzór do naśladowania. Zmarła była pierwowzorem dla tej myśli, która w *Bluszożu* upomina się od lat wielu, aby wśród nowoczesnego społeczeństwa, odżyła ta dawna gałąź pracy kobiecej, któraby przez gospodynię wyższego stopnia, odpowiadającą w zakresie pracy gospodarstwa domowego temu, czem jest wśród zawodów męzkich rzadca dóbr, przychodziła z pomocą pani wiejskiego dworu i matce rodziny. Szukamy zawodów nowych, puszczamy się na niepewną, trudną, często bardzo ciężką, o niewdzięczną pracę, gdy nie jeden dobry szlak życia zatracą się poza nami ze szkodą naszą, a nawet krzywdą ogółu, któremu przez to ubywa gałąź pracy, rzeczywistocie pozytywnej. Zwłoki uczciwej pamięci Jadwigi Borowskiej zostały złożone w grobie familijnym rodziny Młockich, we wsi Smardzewie, a to połączenie prochów wiernej sługi, z prochami tych, którym uszanowanie zasługi zacierało przed oczyma różnice stopni społecznych, jest rzeczą prawdziwie piękną.

— W Sali Obywatelskiej Berlińskiego Ratusza odbyła się w d. 21 Listopada cokolika lat obchodzona tam uroczystość nagradzania znakiem honorowym sług uczciwych, przez długoletnią pracę w jednej rodzinie, do tej publicznej nagrody zaleconych. Nagrodzonych było w tym roku 20. Jedna za lat 30 służby; dwie za lat 25; jedna za lat 24; jedna za lat 19; dwie za lat 16; jedna za lat 10; dwie za lat 7; dwie za lat 6; 8 za lat 5. Brosza złota ze srebrnym napisem: „Za wierną służbę“ i dyplom wydany przez Stowarzyszenie Niemieckich Gospodyń, które związały się między sobą celem tego uznania uczciwej pracy sług dobrych—oto nagroda. Między nagrodzonymi spotykamy jedno nazwisko polskie: Pauliny Krempo-

wicz, która przez lat 25 pełniła obowiązki kucharki we Wrocławiu, u radczyni Salbach. Jest również wymienionem jedno nazwisko polskie dobrej pani, (bo tylko dobra pani, dobrą służbę mieć może)—„Szepańskiej“, co zapewne znaczy *Szepsańskiej*, u której Eliza Fuchs służyła lat 19.

— Magdalena Brès, pierwsza we Francji kobieta, która pozyskała stopień doktora medycyny, wydaje w Paryżu czasopismo p. t: *Hygiène de la femme et de l'enfant*. Macierzyńskie karmienie dzieci stanowi jedną z kwestyi, na którą redaktorka silny nacisk kładzie. Nietylko dziecko traci, gdy pierś obca pierwszy pokarm mu podaje, natura upomina się u kobiety o dane jej a nieużyte siły. Magdalena Brès, jest doktorem kobiet jednego z wyższych teatrów paryzkich.

— Róża Bonheur jest ciężko chorą, na nieuleczalne cierpienie, i zmuszono ją dla szukania pomocy lekarskiej do opuszczenia ulubionej siedziby wiejskiej, do której jednak powróci, bo wie, że wyleczoną być nie może i nie chce daremnie waleczyć o życie, którego dni ostatnie pragnie spędzić w możliwym spokoju. Jest ona kawalerką orderu legii honorowej orderu hiszpańskiego, belgijskiego również wysokiego znaczenia, ale wyżej nad to, zdobi ją i uszlachetnia życie nieskazitelnie czyste. Nigdy ona nie wiodła lekkomyślnego istnienia, które tak łatwo chwytają Francuzki, oddające się sztuce, nigdy nie należała do cyganery artystycznej. Jest ona niezaprzeczenie sztukmistrzynią wyższego polotu; świadczą o tem szczególniej późniejsze jej utwory, gdy pędził jej był już swobodny i nieogładający się na względy poboczne. Obrazy lwów na tle krajobrazów Afryki wykazują talent szlachetny i poetycznej natury, przeciw pierwsze jej prace wzięły natchnienie nie od samej sztuki tylko. Córka malarza wystąpiła z utworami swemi publicznie, aby mieć chleb dla starzejącego się już ojca i młodszego od niej rodzeństwa, przyczem zapomniała o sobie i szczęściu, o swych prawach do niego jako kobieta i artystka, a gdy przyszedł majątek, zdejmujący jej z bark te ciężary, uszła już młodość i jej złote sny na kwiatkach. Do ciekawych studyów psychologicznych może to posłużyć, jak za lat młodych uciekała z Paryża, który jaśniał, w ustroniu Paryża, cieniem zamroczonego, aby bronić się temu, co zastępowało jej drogę ponętą, której przypuścić do siebie nie chciała. I teraz oto spotyka ją pod wieczór życia los ciężko okrutny, bo choroba, na którą umiera, jest rak. Mieli łacinnicy przysłowio: *Nomen est omen* a ona przeciw nazywała się: „Róża Szczęście“ i mimo to zwiędła nie zerwana na samotnej łodydze, a ostatnie chwile jej istnienia muszą być okrutną torturą cierpienia.

— Inspektor Akademii Francuzkiej, Paweł Rousset, wydał świeżo *Historię edukacji kobiet we Francji*, obejmującą dwa tomy, a poczynając się od przyjęcia Chrześcijaństwa przez Gallów. Pierwszy ten peryód zaczyna się od s. Hieronima i ciągnie się do epoki Odrodzenia; cała jego działalność, duch, cele, są wyłącznie natury religijnej. W XVI wieku Erazm i Vivès troszczy się już o umysłowe wykształcenie kobiet, ale przeważnie księżniczek; Reformacja usiłuje szerzyć oświatę wogóle, więc i nauką kobiety. W XVII w. jako ognisko wykształconych kobiet francuzkich występuje pałac Rambouillet, lecz obok tego i pomimo tego żyją pogrążone w niewiedomości zupełnej tysiące kobiet, aż wielki ruch filantropijny któremu popęd pierwszy daje s. Wincenya a Paulo, zwraca się ku kobiecie poza arystokracją. Święty Franciszek Salezy, św. Ludwika de Chantal, tworzą instytucje dobroczynne, gdzie kształcą się dziewczęta niezamożne; tymczasem Fenelon pisze dla ogółu społeczeństwa francuzkiego *Traité de l'éducation des femmes*, Maitenon zakłada szkołę Saint Cyr. Rousseau, choć nie pragnie dla kobiety wykształcenia wyższego, przez *Emila*, którego czytają matki, już wpływa na rozwinięcie umysłów kobiecych, tak jak i Encyklopedyści przez stosunki towarzyskie i poruszenie wielkich zagadnień wieku, które dyskutują się nie w akademiach, lecz w salonach kobiet wyższego umysłu. Rewo-

lucya podjęła też na razie myśl wyższego wykształcenia kobiety; zaznaczający się pod tym względem raport Talleyranda o stanie oświecenia publicznego, żąda dla kobiet szkół fachowych; Condorcet, który pragnął dla nich praw politycznych, chce przynajmniej równouprawnienia nauki kobiecej przez państwo. Jednak mimo tych wielkich projektów, rewolucya nie zgola nie uczyniła w tym kierunku i tylko usiłowanie prywatne kobiety samej czyni pierwszy krok postępu. W przeddzień 9 Thermidora pan Campan otwiera pensjonat, mając trzy uczennice; ale w trzy miesiące ma ich 50, a w końcu roku 100, to jest tyle, ile przyjąć może. Cesarz Napoleon I-szy wznosi w Ecouen szkołę dla córek ludzi zasłużonych krajowi. Lecz dopiero rząd wyszły z Rewolucyi Lipcowej daje Francji szkoły rządowe dla dziewcząt i Guizot pracuje nad tem szczerze, aby odpowiedziały potrzebom kraju. Szlachetna postać kobiety, Pape-Carpentier, jednoczy się z powstaniem szkółki pierwszej dla dzieci małych, ochrony, która we Francji zowie się wdzięcznie *Ecole maternelle*, a została założona tam owiele później, niż gdzieindziej, niż u nas, bo dopiero w 1848 r. Duruy dał ostatecznie impuls dzisiejszemu ruchowi, dążącemu do podniesienia poziomu nauki kobiecej, przez urządzenie wykładów w Sorbonie, co w ślad za Paryżem powtórzyło się we wszystkich uniwersyteckich miastach Francji. Obecnie powstała w Paryżu szkoła wyższa dla kobiet, Lyceum Fenelona—miała już poprzedniczkę swoją, z usiłowań prywatnych powstała; zawiązała się w Paryżu przed laty kilku prywatne towarzystwo, starające się o podniesienie umysłowego wykształcenia Francuzki i mające na czele swoim takich ludzi, jak: Michał Breal, Levasaur, Fryderyk Passy, wzniosło *College Sevigné*, gdzie gruntowna i wyższa już nauka złączała się z najszlachetniejszym kierunkiem. Wpływ Lyceum Fenelona, mogącego działać kręgiem owiele szerszym i posiadającym znaczenie szkoły, która zostaje pod opieką uniwersytetu, zaznaczyć się musi koniecznie ważnymi rezultatami.

— Dwie Irlandki, doktorki medycyny, doktryzowane w Dublinie: miss Pecheey i miss Hitchcock, popłynęły do Indyi, gdzie je wezwano na professorki pewnych przedmiotów dla kobiet indyjskich, mających studyować medycynę na uniwersytecie w Bombay. Anglia dała w Londynie osobną medyczną szkołę dla kobiet; w Indjach zaś, zanim wzniesie się zakład podobny, stara się usunąć z drogi studyjną kobiety wszystko, co może być drażliwością i wykojeniem. Anglia przedstawia też pod tym względem wzór do naśladowania: nie stawia zapór temu pragnieniu światła, jakie uczuwa kobieta nowoczesna, ale stara się troskliwie, aby nauka dawana jej była w sposób, nienaruszający kobiecości w przymiotach zasadniczych. Mieszane szkoły uważa za niewłaściwe: daje więc kobiecie własne jej szkoły wyższe; to też w rozumnym tym kraju postęp nie nie rozburza i z niczem dobrem się nie spiera. Angielskie uniwersytety urządzone sposobem innym, niż na stałym ładzie, są zbiorem kilku kolegiów, będących zarazem pensjonatami, otóż każdy uniwersytet angielski: Londyński, Elinburski, Oxfordzki, w Cambridge, ma już swoje kolegia, żeńskie, których studentki zostają następnie przypuszczone do egzaminu na stopnie naukowe. Bedford College, o którym była wzmianka w zeszytej *Kronice*, jest takim żeńskim kolegium przy uniwersytecie londyńskim. Już kilka lat temu, właśnie, gdy toczyły się rozprawy co do przypuszczenia kobiety do uniwersytetu londyńskiego, ozwał się głos taki: „Kobieta tak jak mężczyzna płaci krajowi swemu podatki; tak jak mężczyzna, choć na swój sposób, pracuje dla zwiększenia summy bogactwa krajowego: zatem należy jej się, skoro tego żąda, takasama a jej własna szkoła. Każdy posiadający uczucie sprawiedliwości, przyznać jej to musi“. Anglia ma też kobiety wysoko naukowe, które jednak nie wykrzywiły typu kobiety szlachetnie pojętego.

PIOSNKA BRONI

Z opery Wiara, Nadzieja i Miłość

Słowa Staszcyka. — Muzyka Zygmunta Noskowskiego.

Andante con moto

Andante con moto

1. Gdzie ies - cie zni - kły wy xto - te chwile Raz ko - szy mo - jej swo - bo - dnie dni
 2. Oj - co wie wie - mi któż mnie przy - tu - li? Dłu in - nej tu - by po - rzu - cił mnie,

Ja - ko spt - sxo - ne z kwiatów mo - ty - le, Po których go - rycz zo - sta - ta mi.
 O - wez mnie Bo - xe do mej ma - tu - li, Matko daj rę - kę ja - umi rzeć chce

f Ko - cha - tam tu - be mej wioski ta - ny
 Po - smier - ci noc - ną po ra - się ya - wie

p *crescendo*
 Stru - myś co szmerze u w go - rze stóp A dziś świat dłu - nnie ki rem o dnia ny
 Wpier - si ko - chan - ka u to - pię wzrok Jak dwa ra - rze - wu w ser - cu zo - sta - wie

f *1^{ta} volta* *2^{ga} volta*
 Wszystko się dla mnie za - mie - na w grób gdzie sta - pi krok

f *pp*
 Jak dwa ra - rze wia w sercu zo - sta - wie Mnie zmarłą ujrzy gdzie sta - pi krok

mf *pp*
 Mnie zmarłą ujrzy gdzie sta - pi krok

p *f* *pp* *p* *pp*